

HORYZONTY

No 1

Czerwiec 1956

Profile literackie

CZESŁAW STRASZEWICZ POLAK ZDZIWIONY

Jan ULATOWSKI

1.

"Turyści z bocianich gniazd" to oczywiście marynarze polscy wybierający wolność. Straszewicz wie co to znaczy wybierać wolność. Wie przede wszystkim co to jest wolność. Dostyc o niej myślał przesiadując przez trzy prawie lata przed mikrofonem tajnej radiostacji "Swit". Wolność wtedy była czymś prowizorycznym i prowizorium to stawało się znośne tylko pod warunkiem wyzwolenia. Ale o wyzwolenie ujarzmionych wówczas toczyła się wojna światowa i nadzieja była uzasadniona.

Gdy mikrofon "Switu" trzeba było oddać Anglikom, którzy uznali, że dość tej zabawy w nadzieję, prowizorium przedłużyło się i nadzieja jeła poszukiwać czegoś, do czego mogłaby się przywiązać po utracie swego pierwszego obiektu. Nie znalazła oczywiście nic innego jak znowu wyzwolenie. Tym razem jednak o wyzwolenie nie toczyła się żadna wojna a gdy się wreszcie zaczęła - okazała się potworkiem: ludzie na Zachodzie nazwali ją szyderczo zimną wojną i w tej zimnej wojnie jeli się urządzić jakby była wiecznym pokojem.

Polakom, a więc i Straszewiczowi wydało się, że patrząc na ten zbiorowy obłęd z wyniosłym uśmiechem przeciwstawiają otoczeniu obcemu jakąś wyższą rację. Ta wyższa racja szybko się przeistoczyła w fundament nowej formy walki: przetrwania. Nie-wola, przetrwanie a w perspektywie wyzwolenie - oto nowa trójca pojęć, w której wyrażać się odtąd miała polska dialektyka wolności.

Kto wybiera wolność - to było dla Straszewicza oczywiste - wciąż jeszcze wybiera tylko wolność prowizoryczną, bo wyższa racja nie pozwala patrzeć na zimną wojnę jako na wieczny pokój. Ale kto tę wolność prowizoryczną wybiera - wybiera przetrwanie jako formę walki o wyzwolenie. Na czym polega przetrwanie "turyستów z bocianich gniazd"? Siedząc w Montevideo, Straszewicz mógł dowoli studiować to zagadnienie.

Ilekcio do portu zawinął statek z Polski, miejscowa kolonia polska powiększała się o kilku nowych "turystów". Nie zawsze są to łaziki i niespokojne duchy, którym po prostu dojadła marynarska dyscyplina. Często są to ludzie, którzy na tym kawałku polskiego terytorium zaniesionego na obce morza w pewnej chwili mieli dość Portretu. Cóż to jest Portret? Ha, Portret to symbol niewoli. Portret przypomina, że wolnością jest niewola i przykazuje, by o wyzwoleniu nie myśleć. Słowem, Portret to Dziesięcioro Przykazań, tablice moźeszowe ujarzmionych, to krzyż i ołtarz ujarzmionych. Portret wisi wszędzie.

W cieniu Portretu politycy snują pajęczę nici raportów i donosów, wiążąc je misternie w wielką pajęczą sieć. W tej linie koncentrycznie zbiegają się u włochatych, drapeżnych łap Wielkiego Pajaka. Co za pokusa, gdy za burta świeci amerykański łódź w argentyńskim słońcu - zerwać Portret ze ściany i rzucić do morza! Jakby się matce-Ojczyźnie kajdany z rąk zrywał! Ale po takim symbolicznym akcie nie pozostaje już nic innego jak wybrać wolność. A z wolnością nową formę walki: przetrwanie.

Na czymżeż jednak polega ta nowa forma walki "turystów z bocianich gniazd", którzy umknęli z cienia portretu? Na czym? Na czymże by jak nie na walce o byt i na ciągłym poszukiwaniu sposobów przyjscia z pomocą udrezonej Ojczyźnie i bliskim męczącym się w tej Ojczyźnie? Szef Bolesławski, który w Punta Czata zeszedł z "Feliksa Dzierżyńskiego", pisze list do rządu polskiego w Londynie oraz do Kongresu Polonii Amerykańskiej i tak o tym mówi:

Napisałem, że ponieważ teraz reka czerwonego terroru dosięgnąć nas nie może, przez to cała zemsta skupi się na naszych rodzinach, po pierwsze wysiedla ich z wybrzeża do jakiegoś zapadłego kąta w kraju, gdzie nie ma żadnego zarobku, przez co praktycznie skazani są na zagładę, o ile nie dostaną od nas materialnej pomocy. Ja napisałem, że pomoc niezbędną, czyli wsparcie dostać mogą tylko od nas, bo inni będą się bali być posadzeni o sprzyjanie rodzinie antykomunistycznej, wobec tego ja prositem w liście, żeby nam umożliwiono pływanie na statkach amerykańskich.

Przyjrzał się Straszewicz do syta tej walce o byt i trosce o bliskich owych turystów z bocianich gniazd, którzy w Montevideo czy Punta Czata wolność wybierali a z wolnością przetrwanie. I spisuje kronikę ich dni powszednich w "Katedrze sandwiczow", która będzie pierwszą częścią jego pierwszej po wojnie powieści. W ten sposób - ze zwłoką wywołaną przez wojnę - Straszewicz wykona zamówienie Gebethnera i Wolffa, które w owych dniach wrześniowych rzuciło go na ten łódź daleki, cel tyłu kolejnych polskich emigracji.

Spisuje tę kronikę z miłością i współczuciem, ale wiernie i bez sentymentalizmu. Zapuści sondę w serca swoich turystów i każe im mówić za siebie jasno i wyraźnie: "Za to cośmy zrobili - powie szef Bolesławski - żony nasze i rodziny w Gdyni na poniewierkę albo nie daj Boże na katorgę z domów wyrzuca, i może

ja nigdy już więcej żony mojej nie zobaczę, ani córeczki, co żalotne jest dla mnie, że wyrazić nie mogę - a przecież ja k nas tutaj pięciu, kopneliśmy tego Dzierżyńskiego, trudno nam było na to co się dzieje patrzeć z założonymi rękami i cierpiącej Ojczyźnie z pomocą nie spieszyć!"

I nie pominie Straszewicz troski i oburzenia swoich turystów, którym znów da wyraz szef Bolesławski, gdy powie: "Ci tutejsi Polacy, jak ich widzę, to są fanfarony, a w tej Punta Czata dla naszych oczu jest fatalnie, na co oni znowuż nic! Fatalnie jest, wiem co mówię, afisze o pokojowych kongresach wiszą niczym w Warszawie, na tym ich Torro sam widziałem sierp i młot jakby w Warszawie, czerwona robota odchodzi na cały regulator, to ja się was pytam, co jest? A oni siedzą i nic. Gdzie my jesteśmy, ja się was pytam!"

Nie zleknie się Straszewicz, gdy odkryje w sercu swoich turystów jeszcze jedną troskę, która już nie jest troską, ale przerażeniem. Bo oto na widok konsula reżymowego, który wybrał wolność w Antwerpii i w Punta Czata miejsce swego przetrwania sobie obrał, szef Bolesławski wykrzyknie: "Wątroba mnie zgniła, gdy zobaczyłem: ruska jego mać konsul ludowy, ten co w Antwerpii na Dzierżyńskiego z ciastkami jak ten Judasz do nas przychodził - mieszka w tym mieście, w willi, która na ironie losu nazywa się Belvedere. Sam widziałem: konsul w ogródku przed Belwederem w białej koszuli w hamaku się huśta i mrożone w szklance w upał sobie popija! Spytałem o niego pana Gackiego; powiedział: to spokojny człowiek, do polityki się nie miesza. Ha! A komu raporty składał Radio-Pieniążek, jeśli nie temu antwerpskiemu konsulowi na Kowalskiego, na Zajlicha i na tego tutaj obecnego Troście, co dla niektórych kolosalne miało następstwa? Spokojny człowiek! To ja się was pytam: co my mamy robić? Cegły nosić?"

Trudna to jest sprawa - przetrwanie, ale jeszcze trudniejsza - wybieranie wolności. Przetrwanie, jak każda walka o byt, ma swoje trudności naturalne, ludzkie. Wybieranie wolności jest decyzją jednej chwili i zależy właściwie tylko od sposobności. Trudność prawdziwa zaczyna się, gdy wolność została wybrana. Bo czymżeż jest wybieranie wolności, gdy w tejże samej Punta Czata cegły nosi, wolność wybrawszy, szef Bolesławski i w hamaku mrożone sobie popija, wolność wybrawszy, konsul ludowy antwerpski? "Gdzie my jesteśmy?"

Wolność jest przecież przeciwieństwem niewoli. W niewoli ludzie żyją wśród robactwa i znoszą ten los, bo inaczej nie mogą. Ale wolność to inny świat! W świecie wolnym rozróżnienie ludzi i robactwa powinno być nie tylko możliwe ale obowiązkowe! Turysty z Dzierżyńskiego będą ten obowiązek uważali za tak oczywisty, że wbrew prezesowi Gackiemu, który ludzi i robaków rozróżniać nie chce, wbrew tej obojętności, dziwnej na tle pokojowych afiszów zaśmiecających Torro - poczują się zobowiązani robić coś więcej niż nosić cegły. Opíše Straszewicz te "akcję bezpośrednią" szefa Bolesławskiego i jego przyjaciół opíše ze współczuciem, ale bez litości. I będzie się nad nią

zanosił od śmiechu, który wielokrotnym echem wybiegnie z kart powieści, będzie rósł i rósł i z każdym echem będzie powra - cał coraz bardziej podobny do płaczu. Ekipa Bolesławskiego uplanuje zamach na konsula antwerpskiego i plan ten wykona popłowicznie. Sam szef Bolesławski skrewi w ostatniej chwili, bo różnica między człowiekiem a robakiem nagle mu się zatrze, boleśnie, beznadziejnie i bezradnie. Konsul mu wyzna "ważną tajemnicę" i szef Bolesławski będzie Opatrzności dziękował, że "żadnej krzywdy nie zrobił konsulowi".

Cóż to za "ważna tajemnica"? "Wyznał mnie konsul w sekrecie - opowiada dobrej Pani z Kiosku - że dla Amerykanów tajemnicę niesłychanie ważne, dotyczące czerwonego terroru, posiada w opracowaniu i że gdyby jego miała spotkać jakaś przykrość, niepowetowany cios spotkałby całą zachodnią cywilizację! Jak Boga jedyne, tak mnie powiedział!" I konsul przypieczętuje to swoje wyznanie propozycją, że wyrobi Bolesławskiemu pozwolenie "zamustrowania się na linie amerykańska". I słowa dotrzyma!

Oto jak nadzieja zrównuje świat wolny ze światem niewoli, jak zaciera różnicę między ludźmi a robactwem i jak z obu światów robi jeden i ten sam padół rozpaczy! Gdzie my jesteśmy, szefie Bolesławski, i co mamy robić? Trudna to forma walki, przetrwanie: Sama jej prawda nieustannie się zmienia a u dna tego niepokoju leży wciąż to samo pytanie z "Piór w ukropie": w czym trzeba wytrwać? Bo to głupstwo, że trzeba przetrwać. Z przetrwaniem sprawa jest prosta: wiadomo, że trzeba przetrwać i wiadomo co trzeba przetrwać. Ale w czym wytrwać? - oto sek!

II.

W czym trzeba wytrwać? - oto pytanie, na które każda z postaci "Turystów z bocianich gniazd" odpowiada po swojemu.

Gdy Kostek Napierski zejdzie z "Gotlanda" na amerykański ląd, by utartym szlakiem udać się po zasilek do szwedzkiego konsula, będzie miał pod pachą książkę. Książkę przez duże K. Długo ukrywa przed nami Straszewicz co to za skarb - ta Książka. Pewnego dnia Kostek sprosi kolegów "do pensjonu familijnego na Rikonie", by ich uraczyć flakami po warszawsku, bo odkryje, że nigdzie tak jak w kuchni nie przejawia się różnica między barbarzyństwem a "wiekową kulturą", która to wiekowa kultura - jak się przekona gotując flaki cała noc - jest rzecz "cholernie wymagająca". Gdy towarzystwo zasiądzie przed dymiącą wazą, Straszewicz zdradzi nam wreszcie, że Książka, z którą Kostek uciekł na wolność, to "odwieczna nasza konstytucja". Przeczytajmy jak to brzmi w oryginale:

Otok marokańskiej papierosnicy i hasminów leżała Książka Napierskiego. Właściciel wziął ją w rece, podniósł uroczyście i krzyknął, żeby przez krzyczeń:

"Uwaga, odwieczna nasza konstytucja. Paragrafy: Wstęp. Sosy zimne, sosy ciepłe, zupy i zupy postne, dodatki do zup. Ryby, wołowina, cielecina, wieprzowina i drób. Potem są paragrafy: jarzyny, różne potrawy mączne, jaja i omlety. I są..." Ambrosio Lipiński, polskich rzeczy ciekawy, zaczął się śmiać. Pierwszy raz go zobaczyli w takim stanie. Śmiał się i krztusił i pluł w głupim śmiechu na prawo i lewo, aż się zaczęło od niego odsuwać. Ja widzę - rzekł z powagą szef Bolesławski - że z politycznej rzeczy zaczyna się robić komiczna draka. Panie Napierski! Panie Lipiński! - i chciał naprawdę biec.

Szef Bolesławski, najbardziej komiczna postać w "Katedrze sandwiczów", prawdziwy Falstarf polskiego frazesu patriotycznego, jest oczywiście w błędzie i znowu nic nie rozumie. Gdy z powodu politycznych i moralnych trudności zaciera się różnica między światem wolnym a niewolnym, gdy nie każdy człowiek jest człowiekiem, bo do robaka robi się podobny i nie każdy robak jest robakiem, bo człowiekiem się okazuje, coż może być Konstytucją Polaków, którzy wolność wybrali, jak nie polskość, choćby skodyfikowana w czymś tak prozaicznym - jak książka kucharska? Niby tonacy brzytwy, emigrant polski chwytają się "odwiecznej konstytucji naszej" w tej postaci, w jakiej zdołał ją uratować.

Ale czyż Polakiem zostaje tylko ten kto wybiera wolność? Czyż nie ma żadnej możliwości pozostania Polakiem ten kto jeszcze wolności nie wybrał lub wybierać nie zamierza?

Wzrok Straszewicza idzie wzdłuż nici pajęczej pieniążkowego raportu do Gdańska, gdzie naczelnik Bijas w Urzędzie Bezpieczeństwa nad raportem tym się pochyla, by wszcząć śledztwo. Tam, w tym zrujnowanym i odbudowującym się kraju jest gleba, z której wyrwane zostały kwiatki siejące powszystkich Punta Czatach świata nasiona "wiekowej kultury, cholernie wymagającej". Czy ziemia ta, siecią pajęczą opleciona, wyschła i czy Wielki Pająk zbiera tam już tylko swoje żniwo, czy tylko on tam sieje!

Kostek Napierski wyskoczył na ląd amerykański przyciskając do piersi książkę kucharską. Zenon Bijas i żona jego, Alicja z Sienkiewiczów, mieszkają w po-junkierskim pałacu, gdzie im "przestronno i cudnie", jak mówi sliczna Alicja, która z przerażeniem myśli o dniu, gdy gotowe będą koszary Bezpieki i trzeba się będzie przenieść do służbowego mieszkania. Na stylowym stoliczku przy łożu małżeńskim Bijasów leży inna książka przez duże K. W "chwilach czasów" jest ona bezstronnym sędzią w rozgrywce o mistrzostwo między małżonkami. Często po dniu pracy albo jeszcze pracowitszego przyjęcia czy "orientacyjnej popijawy" taka się między Bijasami toczy rozmowa:

"Bijas: Gdzie Wołodyjowski uczył Kmicica szablą robić? - Panna Sienkiewiczówna: Myślisz, że powiem pod Lublinem albo w Widłach? Nie wezmiesz mnie na takie dziecinne pytania! Pod San-

domierzem! Bijas: Plus! A skąd jest to: Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie? Panna Sienkiewiczówna: Ogniem i mieczem! W czasie oblężenia Zbaraża, gdy Janicki jechał do chana!.. Bijas: Twoje na wierzchu!" Komu książka kucharska a komu Trylogia...każdemu odpowiednie wydanie "naszej odwiecznej konstytucji".

Zenon Bijas, który się martwić nie lubi, mitręgi unika i w obronie swego rodzinnego z samym diabłem pakt zawrzeć gotów, nie wybiera wolności, w kominie "Gotlanda" nie będzie czekał na koniec WOP'owej inspekcji, jak się to zdarza nawet sierżantowi tegoż WOPu Rymowi.- Zenon Bijas wie, że tylko od własnej jego pomysłowości i siły charakteru zależy, jak długo trwać będą beztrudnie "rozgrywki o mistrzostwo Trylogii" ubezpieczone strachem nieustannym i łzami sióstr z ulicy Ziemowita, Zofii Bolesławskiej, marynarza Fornalskiego i tylu innych, którzy w prowizorium niewoli urządzić się nie potrafili. Zenon Bijas bierze życie takim jakim ono jest. Wielki Pająk jest chytro a przecież z duszy Bijasa nie potrafi wywabić tego, czym ta dusza za młodu nasiąkała. Wielki Pająk stwarza warunki, w których toczy się bijasowe życie, ale rzeczą Bijasa jest tak się kręcić, żeby z tym życiem ująć cało i nawet w pajęczej sieci ułożyć sobie, żonie i Jędrusiowi znośną egzystencję.

Alicja Bijasowa z domu Sienkiewicz była w czasie wojny Akaczka i ma przeszłość godną "naszej odwiecznej konstytucji". Nosi na swych ślicznych ramionach najbardziej polską z polskich główek i nosi ją dumnie, zalotnie, choć nie zawsze śliczne czołko wolne jest od zmarszczek. Pewnej nocy tak się odezwie do swego Zenona: "Bo widzisz Zenon, wszystko jest takie wstretne...Ty musisz się męczyć i ja przez ciebie nawet w wigilię muszę się męczyć...Nie pytaj o powód, bo wiesz! Chyba już wszyscy wiedzą jaka wojna jest straszna, ale dlaczego jest mnóstwo takich, którzy wzdychają do wojny? Mnie się to po prostu w głowie nie mieści, żeby po tym wszystkim co nas po wojnie spotkało, jeszcze komuś zachciewało się wojny! To muszą być zбочeńcy, którzy nam zazdroszczą, że nam się jako tako udało i wolą zaryzykować wszystko, byle tylko nas wymieść. Mnie to przejmuje wstrętem i ty Zenon masz ode mnie moralne prawo scigać takich zбочeńców i żebyś po tym nie odczuwał przy mnie wyrzutów sumienia...Ja mam przeszłość, więc mam prawo mówić...Ja sama jestem gotowa choćby dziś cisnąć bombę atomową w tych, którzy odbudowującą się Polskę chcą wymieść razem z nami! Czy słusznie rozumiem, Zen?...Powiedz, że ja przypadkiem się nie mylę, Zen!"

Czy się nie myli Akaczka Alicja z Sienkiewiczów Bijasowa? W Punta Czata w tejże chwili pan Estanislao Maslo, szewc, znachor i prorok tak mówi: "Od Turków - se - zacznie. Ale Turki głupie - nie będą winowate - a od Turków - przeskoczy przez rzekę Złoty Róg - a od rzeki Róg do Judei - albo Palestyny - i w Palestynie zakręci se - ta wojna - u Żydów - która wojna - okolice nam zbawi - od sierpa i młota - i od złego ściutkiego amen!" A Wiesio Bączek, gdy go do szpitala zabiorą, będzie się

bał tylko czy nie przegapił wiadomości, że wojna wybuchła.

Ej Sławku, Sławku - czegoś ci twoi Polacy z przeszłością godną naszej odwiecznej konstytucji sprzeczne żywią nadzieje! Jeden do Sasa, drugi do lasa! A każdy swoją rację ma, bo ma. Ale życie nie składa się z samych nadziei, choćby to życie prześlaniały, ani z tego czym dusza za młodu nasiąkała, choćby to była najbardziej odwieczna konstytucja nasza.

Wielki Pająk podzielił nas na oprawców i na ofiary, scenariusz wymyślny ułożył i patrzy jak aktorzy role swoje grają. A grają je, grają wszyscy, aż im pot kroplisty na czołowiek puje. I choć się skręcają z dobrej woli i choć się im przyglądasz z dobrą wolą, uśmiech twój, Sławku, twarzy ci nie rozjaśnia, ale ją wykrzywia i gdy ci oczy wilgotnieją z litości, czujesz że pióro w rękę podskakiwać zaczyna, że od tych podskoków ręka ci drga i drga, że wstrząs przez całą twoją istotę się niesie i wybuchasz śmiechem, którego nie ma w scenariuszu Wielkiego Pajaka, ale któremu echem wtóruje tegoż Wielkiego Pajaka śmiech syty i grubiański.

Kto Wielkiego Pajaka chce przetrwać, kto chce wytrwać w polskości, musi śmiać się z siebie i cierpieć, że śmiech jego będzie tylko wtórem sytego i grubiańskiego śmiechu, od którego drga cała pajęcza sieć. Ale czy ma się nie śmiać, gdy jest z czego, czy ma śmiech w sobie tłumić i szty rozdzierać! Nikt do tego nie namówi Straszewicza. Straszewicz nie jest kaznodzieją i nie jest sędzią.

Straszewicz stoi przed polskim krajobrazem, który cały świat obejmuje, i pstryka i śrubkę przekręca i znów pstryka. I album układa, w którym połowa to "Katedra sandwiczów" a druga połowa to "Kociołek na Ziemowita". Zdumiewa się fotograf-Straszewicz, gdy do swoje album przegląda. Bo kiedy tak pstrykał i śrubkę przekręcał, kiedy przez swój czuły obiektyw przepuszczał jeden widoczek po drugim, a każdy pełen życia, każdy tętniący krwią serdeczną - Straszewicz nie folgował żadnej zdrowej ciekawości i gdy myślał o albumie, w którym te zdjęcia ułoży, nie album miał na myśli, nie próżności artystycznej się dał powodować, ale związku między zdjęciami szukał, sensu wypatrywał i w gąszczu tego polskiego krajobrazu, który świat cały obejmuje, promień nadziei uchwycić pragnął. Czy go uchwycił?

III.

Z powieści Straszewicza wylaniają się dwie reprezentatywne postacie: w "Katedrze sandwiczów" szef Bolesławski, w "Kociołku na Ziemowita" - sierżant Rym. Obaj są ludźmi obowiązku. Być posłusznym i gotowym do każdej ofiary to przykazania, których nigdy nie kwestionują. W normalnym świecie ludzie tego typu są ostoją porządku. Życie ich jest gromadzeniem zasług a społeczeństwo wynagradza ich spokojną starością. Szef Bolesławski i sierżant Rym żyją jednak w świecie, który wyszedł z za-

wiasów i w którym nie ma nic normalnego, chyba że za normę zechcemy uznać dżunglę.

W świecie, który przeistacza się na powrót w dżunglę, panuje prawo silniejszego. Kto nie poddaje się silniejszemu ginie. Sprawa lojalności staje się udręką a społeczeństwo rozpada się na tych, którzy wolą zginąć niż zdradzić i na tych, którzy wolą zdradzić niż zginąć. W normalnej dżungli taka decyzja załatwia sprawę: kto nie chce zdradzić - ginie; kto gotów zdradzić - żyje spokojnie. Ale nasz świat, który przestał być światem normalnym i stał się dżunglą, nawet jako dżungla nie jest normalny.

Kto wołał zginąć niż zdradzić, nie ginie, bo uzyskuje amnestię; kto wołał zdradzić niż zginąć, nie żyje spokojnie, bo musi codziennie dawać dowody, że się nie rozmyślił. Choć rządzi światem prawo silniejszego, nigdy nie wiadomo, kto naprawdę jest silniejszy. Gdy toczy się rozgrywka dwóch silnych o cały świat - a gdy przynajmniej wszystkim się tak wydaje - jutro jest niepewne i problem lojalności staje się zmorem. Ludzie budzą się co rano, by znaleźć się oko w oko z tą zmorem, która nie opuści ich do wieczora i jeszcze dobrze, jeżeli nie męczy we śnie. Jak urządzić się w tych warunkach, zapewniając sobie dziś i nie przegrywając jutra!

Szef Bolesławski, amnestiowany żołnierz Polski Podziemnej, przyjmuje amnestię, by w krótkiej służbie reżymu odnaleźć "drogę na wolność", którą wybierze przy najbliższej sposobności. Sierżant Rym, który nie utrudnia sobie życia pojęciem t. zw. honoru, przyjmuje egzystencję w Polsce z dobrodziejstwem inwentarza: z jednej strony gotów poświęcać najbliższych przyjaciół, by umocnić swoją własną pozycję, z drugiej nie gardzi przemytem, a więc sabotażem gospodarczym, bo bez niego egzystencja w Polsce nawet dla bohatera Polski Ludowej byłaby nieznosna.

Ale oto świat współczesny szydzi z obydwóch form lojalności: i tej naiwnej i tej sprytnej. Bolesławski wybierze wolność tylko po to, żeby się poczuć oszukanym, bo w świecie wolnym powodzi się dobrze nie takim jak on rycerzom honoru, lecz takim beneficjentom zimnej wojny jak konsul ludowy antwerpski, który potrafił żyć z judaszostwa póki popłaca, a gdy już popłacać przestaje, potrafi przerzucić się na drugą stronę żelaznej kurtyny i doić inną mleczną krowę: sprzedaje tajemnicę, do których miał dostęp, gdy uprawiał swój judaszowy proceder.

Bardzo podobnego figla życie spletało Rymowi. Ledwo dochrapał się tytułu "bohatera Polski Ludowej", gdy wpada zniechciana w lukę, jaką okoliczności wyrwały w bezbłędnym sylogizmie bijasowego śledztwa i musi uciekać przed aresztowaniem. Okazuje się prawdziwym stoikiem, gdy los nie poskapi mu upokorzenia. Odkryty w kominie "Gotlanda" przez wczorajszego podwładnego, którego sam nauczył nie pomijać komina przy inspekcji, - przyjmie od niego bez drgnięcia powiek jałmużnę przeoczenia i tylko slinę sobie zetrze z okopconej twarzy.

Gdy "Gotland" znajdzie się na pełnym morzu i noc zapadnie, Rym zapałszy w nieskończoność morza przypomni sobie hasło, które pozwoliło mu wytrwać w służbie Polsce Ludowej: "Lepsze polskie gie w polu niż fijołki w Neapolu". Śmiech go ogarnie i tak sam się ofuknie: "Sięgnij bracie po rozum do głowy. Zastanów się bracie i daj spokój fijołkom!" Ten cynik i realista zrozumie, że jago hasło było kłamstwem, ale że i odwrotność tego hasła wcale nie musi być prawdą: fijołki w Neapolu nie okazały się zapewne lepsze od polskiego gie w polu.

Straszewicz wkleja te dwie fotografie z tą samą bezstronnością litością do swojego album. Oto ludzie, których ideałem jest służyć. I oto świat zamieniony w dżunglę udaremnia oba ideały. Bolesławskiego i Ryma porówni degraduje do funkcji w grze, której obaj nie mogą przeniknąć: Bolesławskiemu gra ta nie mieści się w kategoriach honoru, Rym nie może jej zgłębić swoim nieomylnym sprytem. "J się was pytam, gdzie my jesteśmy?" - zawoła zrozpaczony Bolesławski. "Daj spokój fijołkom" - odpowie mu z drugiego końca świata Rym.

Wybrać wolność czy uciec na wolność to wcale nie znaczy: wyzwolić się. Zagadka polskiego wyzwolenia wlecze się za oboma krok w krok jak - nie przymierzając - Stańczyk za Konradem.

Gdzie jest wyzwolenie? Od czego jeszcze trzeba się wyzwolić, by wreszcie być wolnym? Straszewicz zamyka album i nie znajduje na te pytania odpowiedzi. Wolna jest tylko Kotka Ziemowitowa, dla której jeszcze księżycowy krajobraz zburzonego Gdańska jest światem pełnym ponęt a nie dżunglą pełną strachu. "Granice, kordony, pasy bezpieczeństwa - pisze Straszewicz - przepustki, wizy, reflektory, kociołki, czujki - są dla ludzi, nie dla kotów; człowiek się nie przeszwarcuje, ale kot przejdzie... Toteż koty chodzą jak chodziły..."

Cóż jednak warta ta pociecha, skoro człowiek kotem stać się nie może?

Jan ULATOWSKI